

Duterte, prezydent jak skurwysyn

3 marca 2017

Uwaga: nie da się pisać o prezydencie Filipin bez użycia brzydkich słów.

„Hitler zabił 3 miliony Żydów. My mamy co najmniej 3 miliony narkomanów i handlarzy narkotyków, byłbym szczęśliwy mogąc ich wszystkich zabić”. W tej wypowiedzi 71-letniego prezydenta Rodrigo Duterte wyjątkowo nie pada żaden wulgaryzm, a jednak ubiegłej jesieni obiegła ona całą naszą planetę. „Mistrz gaf dyplomatycznych”, jak nazywa go prasa zachodnia, był wówczas prezydentem zaledwie od kilku miesięcy (od 30 czerwca), ale jego mordercza wojna przeciw gangom narkotykowym i charakterystyczny sposób wypowiadania się już wtedy przysłoniły jego program polityczny i wszystkie inne problemy kraju, na którego czele niespodziewanie stanął.

Filipiny, wyspiarski kraj o wielkości Polski, acz z niemal trzy razy większą populacją, jest kulturowym wyjątkiem w Azji południowo-wschodniej. Bardziej przypomina państwa Ameryki Łacińskiej – najpierw przez trzy stulecia, do niemal końca XIX w. kolonia hiszpańska, potem amerykańska, jest w ponad 80 proc. katolicki, z episkopatem, który odgrywa podobną rolę polityczną, co u nas. Po II wojnie Amerykanie przyznali Filipinom pozorną niepodległość – ściśle kontrolowali wyniki wyborów, bo kraj był ich bazą wojskową o znaczeniu strategicznym i darmowym zapleczem surowcowym, oprócz wyborów ostatecznych, co według amerykańskich republikanów świadczy o karygodnym rozluźnieniu kończącej się wówczas administracji Obamy. I tak były wieloletni burmistrz Davao – miasta wielkości Warszawy na południowej wyspie Mindanao – zaczął swą niezwyklej karierę prezydencką. I to nie od wojny z narkotykami, lecz z Kościołem.

BANDA PEDOFILÓW

18 lutego doszło na Filipinach do pierwszej manifestacji przeciwko rządowi prezydenta Duterte. Na jej czele kroczył kardynał Manili Luis Antonio Tagle, co znaczy, że „żarty się skończyły” – Kościół też postanowił wojować. Zaczęło się w 2015 r. – podczas pielgrzymki papieża Franciszka, „tego skurwysyna, przez którego zakorkowało Manilę” – jak go wówczas określił Duterte. Po dojściu do władzy prezydent nie wahał się oskarżyć „jebanej” kościelnej hierarchii o „krycie producentów narkotyków i latyfundystów-wyzyskiwaczy”. Kościół początkowo wstrzymywał się od krytyki prezydenta, bo choć od początku zaczęły spadać na niego ostre potępienia zachodnich rządów i organizacji praw człowieka, cieszy się ogromną, nigdy nie widzianą w historii Filipin sympatią społeczną (między 70 a 80 proc. opinii pozytywnych).

Episkopat przeszedł do właściwej ofensywy dopiero w styczniu, w momencie, gdy Duterte próbował załagodzić konflikt. Po sylwestrze napisał do papieża Franciszka list z podziękowaniem za wizytę sprzed półtora roku i ogłosił „Narodowy Miesiąc Biblii”. To nie złagodziło kościelnej krytyki, więc 19 stycznia wygłosił przemówienie, w którym rozwodził się na temat licznych kobiet i dzieci kleru, tudzież jego „pedalstwa”, nie zapominając o „małych chłopcach ruchanych na potęgę (...) również przez członków episkopatu”. Arcybiskup Ramon Arguelles przyznał wtedy w imieniu Konferencji Episkopatu, że „niektórzy biskupi i księża popełnili błędy moralne”, ale że Kościół będzie niezmiennie „bronił Ewangelii i życia”, przy czym nie chodziło już nawet o sposób walki prezydenta z narkomanią, lecz jego inicjatywę przyznania najuboższym kobietom darmowych środków antykoncepcyjnych, co zostało przyjęte z entuzjazmem przez organizacje kobiece.

JEBAĆ AMERYKĘ

„Niech ten pedał nie zawraca głowy” – głośna reakcja Duterte na krytykę ze strony ambasadora Stanów Zjednoczonych nie

dotyczyła oczywiście homoseksualistów, bo prezydent, mimo swego języka, jest pierwszym przywódcą Filipin, który popiera ich prawa. Zachodni dyplomaci, którzy mimowolnie stali się badaczami subtelności w wulgaryzmach Duterte, nie mogli jednak nie zwrócić uwagi, że w odniesieniu do prezydenta Obamy, użył on nie swojego zwyczajowego określenia „skurwysyn”, które zwykle odnosi się do tych, których krytykuje lub podziwia, lecz „sukinsyn”, co było formą negatywnego wyróżnienia. To się szybko wyjaśniło: Duterte próbuje dokonać zwrotu o 180 stopni w kwestii sojuszy międzynarodowych. W październiku podczas wizyty w Chinach zadeklarował w swoim stylu: „Zrozumiałem i popieram waszą linię ideologiczną. Udam się też do Rosji, by powiedzieć Putinowi, że jesteśmy teraz we trójkę przeciw reszcie świata!”.

Swój antyamerykanizm usprawiedliwia historycznie. Amerykanie podbili Filipiny metodą ludobójstwa. Gdy się pojawili w 1898 r., wybuchło powszechne powstanie przeciw nowym kolonizatorom, które było tłumione żelazną ręką do 1913 r. Według różnych źródeł zabili półtora do trzech milionów ludzi, paląc całe wsie i miasteczka. Odtąd na Filipinach panowało przekonanie, że z Ameryką nie da się wygrać. Lecz nie to Duterte uznaje za największe zło, lecz strukturę gospodarki, którą Amerykanie stworzyli: system oligarchiczno-obszarniczy. By zapewnić sobie łatwiejsze rządy, wprowadzili stosunki czysto feudalne, czym nie mogli się pochwalić nawet Hiszpanie. Podzielili kraj na wiele olbrzymich latyfundiów z rodzinami pochodzenia chińskiego na czele. Obrosły one politycznymi klientami i prywatnymi „policjami”, skazując dziesiątki milionów wieśniaków na trwałą nędzę. To właśnie chłopci bez ziemi, robotnicy rolni – faktycznie niewolnicy, stanowią bazę społeczną komunistycznej partyzantki, która działa nieprzerwanie już niemal od półwiecza.

NIE WKURWIAĆ MNIE!

Pierwsze, co obiecał Duterte, to zakończenie tej wojny. Od wielu miesięcy w Rzymie trwają negocjacje pokojowe między Nową

Armią Ludową (NAL) a rządem. Jednak na początku lutego NAL ogłosiła koniec rozejmu wprowadzonego przez prezydenta, bo na „jego” wyspie Mindanao wojsko miało zabić 20 lokalnych działaczy partii komunistycznej (której NAL jest zbrojnym ramieniem). Duterte zareagował jak w śródtytule i dodał: „Jeśli chcecie przedłużyć wojnę o kolejne 50 lat, będziemy szczęśliwi odpowiadając pozytywnie na waszą prośbę, skurwysyny!” Minister obrony Delfin Lorenzana od razu zapowiedział „wojnę totalną” przeciw komunistom, jednak po kilku dniach temperatura tych oświadczeń opadła, zarówno ze strony rządu, jak i partyzantki. Luis Jalandoni, główny negocjator ze strony NAL, wyraził pojednawczą nadzieję, że „negocjacje pozwolą przywrócić pokój na bazie sprawiedliwości, reformy rolnej i dystrybucji ziemi (dla mieszkańców wsi)”.

Relacje Duterte z komunistami nie zawsze były złe. To w końcu uczeń socjologa prof. Jose Marii Sisona z Uniwersytetu Lyceum w Manili, założyciela Nowej Armii Ludowej. To zresztą chyba jedyny Filipińczyk (od lat na wygnaniu w holenderskim Utrechcie), wobec którego prezydent nie używa żadnych wulgaryzmów – udowodniła to ich skype’owa rozmowa transmitowana na żywo przez telewizję. Sison w 1968 r. zerwał stosunki partii z Moskwą, by podłączyć się pod Pekin, obrać kierunek maoistyczny i podjąć walkę zbrojną. Jeśli Duterte nie dogada się z komunistami, będzie musiał walczyć na dwa fronty, bo jest jeszcze partyzantka muzułmańska, która ostatnio kuma się z Państwem Islamskim, też na „jego” wyspie Mindanao.

BREAKING BED

Właściwie Duterte ma do czynienia z trzema zbrojnymi frontami, bo jest jeszcze ta nieszczęsna walka z narkotykami. Jeśli jest coś takiego, co uznaje on za „chorobę filipińską”, to jest to „amerykańskie” połączenie ogólnej nędzy wywołanej stosunkami feudalnymi z masową produkcją metamfetaminy, też przyniesioną ze Stanów. Na Filipinach nazywa się ona „szebu” i jest podobno czystsza niż legendarna metamfetamina z serialu „Breaking Bad”. Stanowi jeden z produktów eksportowych znanych w całej

Azji południowo-wschodniej i w samych Stanach, dokąd dociera przez Hong-Kong. To nie jest trawka, przynosi fatalne skutki społeczne. Produkują ją tajne laboratoria ukryte w wiejskich latyfundiach i wielkich metropoliach, politycznie strzeżone przez skorumpowanych policjantów, wojskowych i polityków. Amnesty International w specjalnym raporcie opublikowanym na początku lutego mówi, że ofiarą antynarkotykowej wojny Duterte padają przede wszystkim ubodzy, pionki, nie grube ryby.

Według tego raportu, w ciągu pierwszego półrocza rządów Duterte policja, której dał „zezwolenie na zabijanie”, zabiła ponad 2 tysiące osób. 5 dalszych tysięcy miało zginąć w tym czasie z rąk różnych „szwadronów śmierci” o niejasnej przynależności i na skutek ogólnej wojny między gangami narkotykowymi, wywołanej przez „policyjny chaos”. Organizacja sugeruje nawet, że „może to wskazywać na zorganizowaną zbrodnię przeciw ludzkości”. Kilka dni wcześniej Duterte „zawiesił” tę wojnę na skutek międzynarodowego skandalu – policjanci z Kwatery Głównej w Manili zabili na tej fali Koreańczyka, a potem domagali się od jego rodziny z Seulu okupu za „uwolnienie”. Powiedział, że skorumpowani policjanci (ocenił, że jest ich 40 proc.) będą karnie wysyłani do dżungli, do walki z islamistami.

MAM W DUPIE PRAWOCZŁOWIECZYLM

24 lutego policja aresztowała senator Leilę de Lima, minister sprawiedliwości za czasów poprzedniej administracji. W zeszłym roku prowadziła parlamentarne śledztwo przeciw Duterte, oskarżając go o kierowanie policyjnym „szwadronem śmierci”, gdy był burmistrzem Davao. Miało wtedy zginąć ok. tysiąca ludzi – nie tylko handlarzy narkotyków, bo był wśród nich opozycjonista polityczny, dziennikarz. „Nasz prezydent to seryjny zabójca, psychopata!” – krzyczała przed aresztowaniem. „De Lima? Ona nie tylko pierdoli się ze swoim szoferem, ona pierdoli cały naród!” – Duterte oskarża ją z kolei o organizację politycznej ochrony produkcji „szebu”. Amnesty uważa ją za pierwszego więźnia politycznego prezydenta. Dla

niego jednak zachodni „prawocześnizm” jest jedynie rodzajem nowej, propagandowej religii służącej „usprawiedliwieniu wojen kolonialnych i wyzysku”.

Gdy zajął najwyższe stanowisko w państwie, powiedział, że jest „pierwszym lewicowym prezydentem Filipin”, definiuje się jako „socjalista”. Wprowadził do rządu kilku marksistów, ale najważniejsze ministerstwa – zajmujące się finansami, gospodarką, handlem, powierzył wyznawcom wolnego Duterte, prezydent Filipinrynu i pełnego liberalizmu. Jego zwolennicy utrzymują, że inaczej „już by nie żył”. Zresztą mało kto wierzy, że skończy żywy swoją kadencję. Na razie nic, nawet nawoływania Kościoła, nie osłabiają jego popularności. Uchodzi za polityka, który „rzeczywiście coś robi”.

Miliony nędzarzy z najniższej półki, ci, których nie stać na mieszkanie w slumsach i nocują dosłownie w rynsztokach lub na cmentarzach, chwalą go za przyznanie im darmowej (choć bardzo ograniczonej) opieki zdrowotnej i leków. Dla oligarchicznej prasy to „populizm”, ale umożliwienie bezpłatnego studiowania, budowy dróg, szkół i szpitali na wsiach i w slumsach, które rozpoczął, sprawiają, że przez biedotę jest traktowany jak gwiazda: malowany na talerzach, ścianach, koszulkach. Nikt z nich się nie przejmuje, że komuś tam pokazał w telewizji „faka”.

Autorstwo: Jerzy Szygiel

Źródło: Strajk.eu